

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

lipiec 2010 r.

Nr 8 (90)



Witam serdecznie Czytelników opalających się zasłużenie „na dowolnie wybranym boku”

Myślę, że również tematyka dzisiejszych łamów nie będzie zbytnio odbiegała od pogody i nastrojów naszych Czytelników. Przed nami, w srogim upale, zmagania grunwaldzkie, przybliżone opisem Janusza Gulczyńskiego do naszych terenów (w sensie pamiątkowym). Chcemy również oddać głos dawnym druhom, łazikom, włóczykijom i innym miłośnikom oglądania nieba przez dziury w namiocie. Tak się złożyło, że musieliśmy w ciągu roku realizować artykuły „na zamówienie społeczne”, rocznice, święta itp. W wakacje oddamy głos tym wszystkim, którzy cierpliwie oczekiwali na wolne miejsce w „Koninianach”. Przede wszystkim najserdeczniej przeproszam pana Kazimierza Gościńskiego za wręcz nieprzyzwoite przetrzymanie Go w „redakcyjnej zamrażarce”, ale są wreszcie wakacje i Twoja ulubiona, druho harcmistrzu, tematyka stała się aktualna. Na początek dajemy Piłsudskiego bo to wszak lipiec i jego odwiedziny w Koninie lat co prawda prawie dziewięćdziesiąt temu, ale to

zobowiązuje do przypomnienia Marszałka. Ze wspomnień obozowych odkurzymy przeżycia druha Mietka Bryzgałskiego (wzruszające wspomnienia o Czesiu Śliwińskim za miesiąc). Tutaj dzielę się dobrą wiadomością – w przyszłym miesiącu wyjdziemy dwa razy (oby Allach pomnożył stada Naczelnego). Myślałem, że Włodek Kowalczykiewicz (mł.) potraktuje „sezon ogórkowy” bardziej swobodnie, a on dał zupełnie rozsądną ekonomiczno-gospodarczą analizę rynku. Włodziu wylazi z Ciebie zupełnie wytrawny handlowiec – nieźle. Zapowiadane fotograficzne migawki powodziowe i to od roku 1924 – z krótkim tekstem Wenedy również w następnym numerze. Zamieszczamy także przetrzymany artykuł Bartosza Kielbasy „refleksje nad przemijaniem – czyli o cmentarzu ewangelickim w Dryi k/Tuliszkowa. Tadeusz Łasiński uzupełnia wiedzę o Chopinie nieznanymi szerzej ciekawostkami – podoba się nam, czekamy na dalsze odsłony. Mirka Dimitrow relacjonuje otwarcie nowego muzeum w Licheniu, podobno bardzo ładne, żałujemy, że „Koniniana” nie znalazły się na liście zaproszonych gości, może uda się

następnym razem. W naszej witrynie literackiej polecamy dwie pozycje – książkę ks. Mariusza Budkiewicza o parafii w Brzeźnie (bardzo solidne opracowanie) oraz album poezji Jadwigi Naskręckiej ilustrowany przez Teodozję Matusiak – wzruszające wspomnienia o Koninie. Tę pierwszą kupimy na plebani w Brzeźnie, drugą w zakładzie fotograficznym Sypniewskich. Zapraszam również na wywiad z wiceprezydentem Tadeuszem Tylakiem, którego nie wiem czy traktować bardziej jako matematyka czy humanistę – mówiąc szczerze, w stosunku do mnie występuje jeszcze w trzeciej roli, ale to już zupełnie inna historia.

Z litościwie zimnymi pozdrowieniami

Stanisław Sroczyński

PS Cieszę się, że udało się wyjaśnić sprawę psiego grobu. Z powodów dość racjonalnych, które wyjątkowo rozumiałem, właściciel 15-letniego wilczura – o którym mówił z głębokim wzruszeniem – nie chce specjalnie się ujawniać. Dodam tylko, że przydałby się cmentarze dla zwierząt w Koninie.



Grunwaldzkie tradycje

M i j a 600 lat od wielkiego zwycięstwa Polski i Litwy nad

zakonem krzyżackim 15 lipca 1410 roku pod Grunwaldem. Wiekopomny ten triumf urosł do miary symbolu i czczony był przez lata. Już Władysław Jagiełło nakazał 5 lipca 1411 roku uroczyste obchodzenie pierwszej rocznicy zwycięstwa i bić w całej Polsce w kościelne dzwony. Można więc uznać 15 lipca za pierwsze święto państwowe. W latach I Rzeczypospolitej kultywowano pamięć o Grunwaldzie. W czasach zaborów, mimo wielorakich represji, nie zapominali Polacy o kolejnych rocznicach wiktorii. Najlepszym tego przykładem stał się rok 1910, 500-lecie chwały Grunwaldu, kiedy to do mającego większą autonomię w porównaniu z Królestwem Polskim (de facto zaborem rosyjskim) i Wielkim Księstwem Poznańskim (zaborem pruskim) galicyjskiego Krakowa zjechało na uroczystości grunwaldzkie przeszło 100 tysięcy ludzi z trzech zaborów, czyli z całej Polski. Kulminacją obchodów stało się odsłonięcie ufundowanego przez Ignacego Jana Paderewskiego pomnika z królem Władysławem Jagiełło na wysokim cokole.

W 1960 roku, w czasach komunistycznej Polski, pamiętano również o chwale Grunwaldu. 15 lipca odbyły się ogromne w swoim rozmachu uroczystości państwowe, odsłonięto na polach grunwaldzkich pomnik zwycięstwa, har-

cerze zorganizowali ogólnopolski zlot, na ekrany kin wszedł film „Krzyżacy”, w reżyserii Aleksandra Forda, oparty na epopei Henryka Sienkiewicza.

Na tegoroczne obchody 600-lecia chwały grunwaldzkiej przygotowano wiele uroczystości, inscenizacji, wystaw, wydawnictw itp. Przede wszystkim w ramach projektu „Grunwald 2010” przystosowano na nowo do zwiedzania tereny pól bitewnych. Powstały nowoczesne pawilony wystawieniowe i recepcyjne, zadbano o najmniejsze fragmenty infrastruktury. Również Zamek Królewski na Wawelu, w nawiązaniu do wielowiekowej tradycji, stał się jednym z głównych ośrodków wydarzeń rocznicowych.

Odwiedziłem ostatnio w ramach wakacyjnych wojaży kilka miejsc i napotkałem też kilka regionalnych pamiątek grunwaldzkich.

Kościół pw. św. Mikołaja i Dobrego Pasterza w Ślesinie. Położony tuż nad jeziorem kryje w sobie wiele bezcennych zabytków. O jednym z nich wszakże, jak się wydaje, nigdy dotąd nie pisano. W kruchcie, tuż przy wejściu, po prawej stronie wmurowana jest w ścianę prostokątna tablica z czarnego marmuru i z rytą inskrypcją:

KU WIELKIEJCZCI/ICHWALE BOŻEJ/ POD WEZWANIEM ŚW. JANA NEPOMUCENA/ NA UPAMIĘTNIENIE ROCZNICY/ GRUNWALDZKIEJ/ I GORLIWEJ PRACY SPOŁECZNEJ/ KTÓRĄ PARAFIANIE/ POD PRZEWODNICTWEM/ KS. JANA LANGIERA/ PODJĘLI//

FIGURĘ Z DOBROWOLNYCH OFIAR/ WZNIOSŁA MŁODZIEŻ/ 1910 ROKU.

Niezwykła to pamiątka świadcząca o żywotności grunwaldzkich tradycji. Zadziwiające, że nawet tak wytrawny ślesinianin, jak Kazimierz Dorywański, dawny regionalista, kierownik przedwojennego konińskiego gimnazjum, drukując artykuł o Ślesinie (Krótka monografia miasta Ślesina, „Ziemia”, 1914 r.) pisał o uroczach nadjeziernego miasta, słynnej triumfalnej bramie Napoleona i wielu innych rzeczach, ale o tablicy grunwaldzkiej ani się zająknął...

Z tablicą w kruchcie związana była również, jak głosi cytowana inskrypcja, figura św. Jana Nepomucena – świętego, który chronił pola i zasiewy przed powodzią, suszami i innymi klęskami. Figury św. Jana Nepomucena do dziś jeszcze można napotkać na drogach, zwłaszcza skrzyżowaniach, placach publicznych i kościelnych, nader często przy mostach, w pobliżu rzek i innych rozlewisk wodnych.

Figury św. Jana Nepomucena nie ma już dzisiaj w ślesieńskim kościele, przynajmniej nie w kruchcie, gdzie stała onegdaj, przy tablicy. Co się z nią stało? Pytałem się tu i ówdzie, telefonowałem, ale nikt nic konkretnego nie umiał powiedzieć.

Wniewielkim Brdowie (powiat kolski, gmina Babiak), w kościele pw. św. Wojciecha i klasztorze oo. Paulinów znajduje się średniowieczny obraz Matki Bożej Zwycięskiej. Tradycja głosi, że został on namalowany na życze-

Z POD GRUNWALDU...

Z pod Grunwaldu, z kaplicy króla Władysława, z pola chwały do Brdowa cichego przybyła – i jaśnieje czarowniej, niżli zorza miła, niż jutrenka urocza, srebrzysto-złotawa.

A jaśnieje lat pięćset... Pożóg, krwi kurzawa nad Jej biedną stolicą często się wznosiła, nawet tron jej, świątynia raz się w popiół stłiła – Ona świeci, jak słońce, pachnie, jak oliwa.

O Królowo łask pełna i niebieskiej krasy! Przech wybrałaś na dom swój ciche, skromne Brdowo? Ach, zwabiły Cię ludu nieszczęśliwe masy,

Dźwigające na głowach koronę cierniową! Dla nich tu przebywasz, by po wszystkie czasy Nieść im macierzyńskie ukojenia słowo.

Ks. Józef Markowski

Wiersz z tomu „Sonety Brdowskie”, Włocławek 1930. (Reprint: Wydział Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Koninie, Konin 1998).

nie króla Władysława Jagiełły i znajdował się w jego namiocie podczas pamiętnej bitwy 15 lipca 1410 roku. Czy odpowiada to prawdzie? Trudno powiedzieć, ale powtarzam: tak od wieków podtrzymuje tradycja.

Do Brdowa przybyli paulini w 1436 roku. Natomiast łaskami słynący obraz brdowski został ukoronowany 19 czerwca 1983 roku na Jasnej Górze przez Jana Pawła II.

O uroczach Brdowa i obrazie Matki Bożej Zwycięskiej pisał przebywający tam na probostwie w latach 1929-1930 ks. Józef Markowski, nie tylko wybitny kapłan-społecznik, ale i poeta. W 1930 roku wyszedł drukiem (Nakład Zakładów Graficznych Neumana i

Tomaszewskiego we Włocławku) zbiorek poezji ks. Markowskiego zatytułowany Sonety Brdowskie (notabene wznowiony w formie reprintu przez Urząd Wojewódzki w Koninie w 1998 roku).

W zbiorze znalazły się dwa wiersze poświęcone Grunwaldowi i Matce Bożej Zwycięskiej. Wyjmuję obecnie jeden z nich i przekazuje „Koninianom”.

I jeszcze jedno. – Ks. Józef Markowski, po pobycie w Brdowie objął parafię pw. św. Urszuli w Wilczynie. W dalszym ciągu pisał wiersze, kilka z nich zamieścił na łamach „Głosu Konińskiego”. Nie doścignęły one jednak artystycznego kunsztu tworzonych w Brdowie sonetów.

dokończenie na str. 4

Na 75-lecie śmierci Marszałka

12 maja 1935 r. po długiej chorobie zmarł Marszałek, Józef Piłsudski. Jeszcze w czasie pierwszej wojny i okupacji niemieckiej, jako komendant I Brygady Legionów Polskich niejednokrotnie spotykał się ze starszą młodzieżą harcerską, licznie pełniącą służbę i walczącą w obronie granic państwa. Marszałek zawsze i wszędzie doceniał gotowość, odwagę i ofiarność młodzieży harcerskiej. Wielokrotnie okazywał to w wystąpieniach publicznych. Wyrazem wyjątkowego szacunku i wyróżnienia bohaterkich postaw harcerzy było nadanie 205. Pułk. Piechoty im. Jana Kilińskiego przydomek: Zuchowatych. Pułk w znacznej mierze składał się z młodzieży rzemieślniczej, w gronie której kilkuset było harcerzy z

całej Polski w tym z Kalisza i Konina.

Ponadto Marszałek 10.07.1921 r. odwiedził Konin i osobiście podziękował za udział w wojnie, wręczając sztandar 18. pp. stacjonującemu w mieście oraz odsłonił tablicę upamiętniającą śmierć ucznia, harcerza Michalaka, w wojnie.

Starsza młodzież konińska przeżyła to wydarzenie i pamiętała Marszałka. Harcerstwo więc wzięło udział w uroczystościach pogrzebowych i opracowało harmonogram. 13 maja 1935 zwołano zbiórkę alarmową I. D. Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki (gimnazja) na znak żałoby i odczytano rozkaz nr 6 następującej treści:

„Pierwszy protektor Harcerstwa Polskiego, Marszałek Polski: Józef

Piłsudski nie żyje. Harcerstwo Polskie poniosło dotkliwą stratę i cała Polska. Druhowie! Wpatrzeni w życie pierwszego Marszałka, życie poświęcone dla kraju, Polski i jej chwały, starajmy się naśladować, a mając w gmachu gimnazjalnym wmurowaną tablicę ze słowami nieżyjącego dziś Marszałka Piłsudskiego... o wyścigu Pracy”. Wprowadzajmy je w czyn z całą powagą i zaparciem.

Tak jak Marszałek całe życie pracował dla Ojczyzny, tak i my godnie starajmy się go naśladować w codziennym postępowaniu.

Na znak żałoby wprowadzam aż do odwołania nakrycie krzyży harcerskich, żałobą a dzisiejszą zbiórkę rozwiązuję. Czuwaj. Drużynowy: Wojciech Jarominiak”.

14 maja. Udział drużyn w Apelu żałobnym ku czci śp. Marszałka zorganizowanym przez Komendę PW. Odczytanie Apelu przez Prezydenta.

15 maja 1935 r. Ognisko poświęcone pamięci: Pierwszego Protektora Harcerstwa Marszałka J. Piłsudskiego zorganizowane przez Komendę Harcerzy i Harcerzy w Koninie. Gawędę pośmiertną o czynach Marszałka wygłosiła ppor. hm. Janina Szymczakówna, hufcowa. W pięknym stylu, uczuciowo i sugestywnie treść gawędy trafiła do młodzieży. Po czym hufcowy Zygmunt Kubiszewski nawiązał do niektórych fragmentów wypowiedzi swej poprzedniczki i przeniósł „do treści prawa harcerskiego”.

13-18 maja 1935 r. Harcerze współuczestniczyli razem z innymi organizacjami paramilitarnymi w warcie przy popiersiu Marszałka. W centralnym miejscu placu Wolności na wysokim cokole zostało umieszczone popiersie: Piłsudskiego, w odpowiedniej oprawie, obok świerki, dywanik itp.

17 maja. Udział drużyn konińskich we mszy polowej za dusze śp. Marszałka. Poświęcenie ziemi oraz odprowadzenie delegacji udającej się do Krakowa uczestniczyć w sypaniu Kopca na Sowińcu.

Młodzież konińska na miarę ówczesnych możliwości oddała hołd i pamięć twórcy Państwa Polskiego, który odszedł na wieczną wartę.

**Opracował
Kazimierz Gościński**

Na podstawie zachowanej kroniki I. Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki w Koninie

Refleksji nad przemijaniem ciąg dalszy

Cmentarz ewangelicki w Dryi koło Tuliszkowa



Motto: Aequat omnes cinis; impares nascimur, pares morimur (wszystkich zrównuje proch; rodzimy się nierówni, równi umieramy) Seneka

Mijający czas Wielkiego Postu upłynął nam na rozważaniach r u c h o ś c i własnego żywota, wszakże wszystko ma na tym świecie swój początek i koniec, nic nie jest wieczne. Pozostając w tej konwencji, postanowiłem wrócić do ołędów, mając na względzie przede wszystkim wydaną tak niedawno retrospektywną książkę Zdzisława Kulawinka „Tam, gdzie rosną konwale”, powstałą stroną internetową o Ołędach z Nekli czy jubileusz parafii reformowanej w Żychlinie.

W pobliżu drogi krajowej nr 72 Konin-Turek, na malowniczo położonym pagórku o wysokości bezwzględnej 131,3 m.n.p.m. w miejscowości Dryja na pograniczu powiatów: tureckiego i konińskiego położony jest stary cmentarz konfesji ewangelicko-reformowanej. Przypuszczalnie nekropolia ta istniała już II połowie XIX wieku. Wtedy to bowiem do pobliskich Żdźarów przybyli koloniści niemieccy. Osadnicy ci osiedlili się także w Kiszewskich Holendrach (Dryi) już w 1833 roku, o czym świadczą pierwsze udokumentowane daty urodzin ich dzieci (Friedrich Wilhelm Wiesner ur. 1833 r., Johann Wil-

helm Wiesner 1839 r., Pauline Rahbein ur. 1866 r.).

O tym iż spoczywają tu członkowie żychlińskiego zboru, informują inskrypcje wyryte na nagrobkach – Krygier (spolszczone), Krigier. Nazwisko tej rodziny spotykamy także na tabliczkach natru-miennych w zakrystii parafii reformowanej. Cmentarz ten ma zresztą wiele cech wspólnych z nekropolią kalwińską położoną w Żdźarach. Nagrobki wykonywał przypuszczalnie ten sam wiejski kamieniarz, o czym świadczy nieporadność w wykreślonych literach (odwrócona litera „n”, pomieszane duże litery z małymi). Teren ten kiedyś był ogrodzony – w narożnikach zacho-

wały się ślady ceglanych słupków (pozostałe elementy rozkradziono). Droga główna na cmentarz została zaorana, jej fragment zachował się od strony południowej. Dojście dziś jest możliwe jedynie przez prywatną łąkę.

Nekropolia porośnięta jest obecnie lasem sosnowym, krzewami i samosiejkami. Pośrodku tego miejsca stał dawniej drewniany krzyż, który w wyniku postępującego procesu próchnienia runął w zarośla. Ocalałe nagrobki pochodzą z lat 20. XX wieku – groby niemowląt i dzieci (Ewald, Wanda Nehring, Hermann Krygier). Spoczywający na cmentarzu Adolf Nehring lat 70, został według relacji miejscowej ludności zastrzelony przez polskiego parobka o nazwisku Krawiec. Zresztą pojawiające się tu nazwiska

Jenn, Nehring można odszukać na nekropolii kalwińskiej w Żychlinie czy luterzańskich w Koninie, Kole, Turku.

Wszyscy zmarli pochowani w Dryi mieli przed wojną w pobliżu dobrze prosperujące gospodarstwa rolne. Wprowadzali na tych terenach nowoczesne techniki uprawy ziemi. W czasach komunistycznych ich majątki zostały przejęte przez Polaków, a ołędry w obawie przed prześladowaniami musieli uciekać na zachód. Pozostały po nich zdezastrowane nekropolie.

Chciałbym serdecznie podziękować pani Annie Wiśniewskiej z Komisji Rewizyjnej TPK za udostępnienie dokumentacji fotograficznej dotyczącej ww. cmentarza sporządzonej w trakcie cyklu „Spacerkiem po zdrowie” organizowanego przez PTTK Oddział Konin i ogromną pomoc merytoryczną przy przygotowaniu treści artykułu.

Bartosz Kielbasa

Najdłuższe urodziny Chopina

Kiedy zabieram się do pisania poniższego felietonu, jesteśmy prawie na półmetku Roku Szopenowskiego. Wydawałoby się, że o naszym kompozytorze i jego muzyce wiemy już wszystko lub prawie wszystko. Tymczasem Chopin pozostaje wciąż osobą nie do końca odgadniętą, a co do stylistyki i interpretacji jego pianistycznej twórczości – pośród muzykologów, jak i wykonawców – sporom nie będzie końca. Tak zróżnicowane reakcje może wzbudzać artysta, który ma wiele do powiedzenia. W arcydziełach wszystko się przegłębia – najwznieśliwsze odczucia i próby ich trywializowania. Jest jakiś paradoks w tym, że polscy artyści, którzy starają się propagować Chopina, nie potrafią wydobyć z jego sztuki odmienności i rewolucji, jaką on przeprowadził w muzyce.

A teraz cofnijmy się o dwa wieki. Pierwszymi dziećmi Chopinów były córki Ludwika i Izabela, syn Fryderyk urodził się 1 marca 1810 r. (wedle niego samego i matki; w

metryce zaś widnieje data 22 lutego). Zaledwie po 6 miesiącach od jego pojawienia się na świecie, rodzina przyszłego kompozytora przenosi się z Żelazowej Woli do Warszawy, gdzie przychodzi na świat kolejne dziecko – córka Emilia. Fryderyk od 6. roku życia gra na fortepianie. Gdy ukończył lat 12, jego edukacją muzyczną zajął się Józef Elsner, dyrektor warszawskiego konserwatorium. Ten sam, którego kompozycją ze słowami Ludwika Dmuszewskiego żegnano młodego Frycka, który po upływie roku od pobytu w podkonińskim Żychlinie wyjeżdżał z Polski. Choć opuszczasz nasze kraje, (...) serce Twoje w nas zostaje... – grzmiała proroczo słowa kantaty.

W czasie pobytu w Paryżu utrzymywał liczne, przyjazne kontakty z wybitnymi muzykami europejskimi m.in. F. Lisztem, V. Bellinim, G. Rossini z wydawcami, krytykami, jak również z całą emigracją polską. Choć wzbierał się przed publicznymi koncertami, jego etudy i ballady,

którymi oczarował artystyczno-intelektualną elitę Paryża, to było coś, od czego zaczęła się nowoczesność w muzyce. Najpopularniejszą balladą Chopina pozostaje po dziś dzień pierwsza g-moll, skomponowana w latach 1835-36 i wydana jako op. 23. To ten utwór grał Władysław Szpilman w opuszczonym warszawskim domu dla niemieckiego oficera Wilma Hosenfelda, to tę balladę „ulubiło” sobie wielu pianistów z V. Horowitzem i K. Zimmermannem na czele.

Frycek w okresie paryskim prowadził nader intensywne życie towarzyskie. Był stałym bywalcem salonów, przy tym to najprawdziwszy dandys, przywiązujący wyjątkową wagę do strojów i wystroju wnętrza swojego mieszkania. Nie lubił oszczędzać, był wręcz rozrzutny. Głównym i lukratywnym źródłem jego utrzymania były lekcje gry na fortepianie, których udzielał 5-6 godz. dziennie i w ciągu tygodnia mógł zarobić na nich więcej niż na średniej wielkości kompo-

zycji. Szkoda, że wielki kompozytor, zamiast tworzyć wielkopomne dzieła, tracił czas na udzielanie lekcji panienkom z arystokratycznych domów. Kompozytorska spuścizna po Chopinie, choć genialna, w porównaniu z Mozartem, który żył jeszcze krócej (35 lat) jest jednak znikoma. Prezentacja całej jego twórczości trwa zaledwie 22 godziny.

Zamiarem moim nie było pisanie życiorysu Chopina, a jedynie podanie w wielkim skrócie wybranych fragmentów jego życia i twórczości. Celowo pominąłem relacje mistrza z wieloma niepospolitymi kobietami, w tym z taką osobowością, jaką była Aurora Dupin, znana pod pseudonimem Gorge Sand. Problem, jaki odegrały w jego życiu kobiety, jest interesujący, na wskroś niebagatelny i na tyle pogłębia portret psychologiczny Chopina, że powinien stać się tematem osobnego omówienia.

Pomijam też obchody Roku Szopenowskiego w naszym mieście i regionie (koncerty, spotkania, konkursy), ponieważ informuje o tym na bieżąco lokalna prasa.

Mnie z przyczyn zrozumiałych interesuje zagadkowa i nie do końca wyjaśniona przyczyna wieloletniej cierpienia muzyka, które doprowadziły do jego przedwczesnej śmierci w wieku zaledwie 39 lat. Także nie wszystkim znane są koleje i losy serca wyjętego z piersi Chopina podczas przeprowadzonej przez francuskiego patologa sekcji. Ale te tematy przybliżę Czytelnikom w następnym felietonie.

PS Na pytanie – gdzie urodził się Fryderyk Chopin, 7 proc. indagowanych Polaków odpowiedziało, że w Stalowej Woli. Różnica na pozór niewielka, ale obie nazwy mają ze sobą tyle wspólnego co węgiel kamienny z kamieniem węgielnym.

Tadeusz Łasiński

SPROSTOWANIE

Przepraszamy Czytelników oraz autorkę J. Naskręcką za przekreślenie nazwiska pochowanej na krakowskim cmentarzu Batowice Krystyny Runge z d. Grabowska.

Wywiady Stanisława Sroczyńskiego

Matematyk z duszą humanisty – czyli rozmowa z wiceprezydentem Konina Tadeuszem Tylakiem

– Bywało, że kiedyś prominentnych urzędników „przywożono w teczkach”, nie ukrywam, że również istnieje jakaś tajemnica związana z Twoim pojawieniem się w Koninie. Myślę, że za chwilę stanie się to bardziej jasne.

– Moja rodzinna miejscowość to Bolesławów, gmina Władysławów w powiecie tureckim. Nie znajdziesz jej dziś na mapie ani na przydrożnym drogowskazie. Ale zapamiętaj, że najładniejsza droga z Konina do Turku prowadzi przez Władysławów. Tuż za miastem, tak zawsze nazywaliśmy siedzibę gminy, jest bardzo niebezpieczny zakręt, przed nim tablica z nazwą miejscowości: Marianów. Około 50 m dalej kapliczka z tajemniczą datą 1906. Różne fakty próbowaliśmy podkładać pod tę datę, do dzisiaj nie wiemy nic pewnego – oprócz faktu, że tutaj zaczyna się mój Bolesławów. Nazwa widnieje chyba tylko w moich dokumentach tożsamości.

– No pięknie, wiemy już, że tajemniczy przybysz jest facetem odnalezionym o dobry rzut kamieniem od Konina. Może jeszcze powiesz, że od dziecka marzyłeś o zostaniu nauczycielem...

– Jeżeli darujesz sobie słowo „facet”, za którym nie przepadam, resztę mogę zaakceptować. Ja już w szkole podstawowej wiedziałem (nie myl z marzeniem), że będę nauczycielem. Tak ukształtowała mnie moja szkoła we Władysławowie i niezapomniana wychowawczyni Barbara Kaczorowska.

– Wspaniały przykład lokalnego patriotyzmu – mówię to z pełnym podziwem – jako były nauczyciel bardzo chciałbym, aby kiedyś uczniowie tak mnie wspom-

nali – co było dalej?

– Z różnych powodów wybrałem Liceum Pedagogiczne w Kaliszu. Bliżej był co prawda Morzysław, ale znajduję się w nim po wielu latach w zupełnie innej roli.

– Pozostawmy na chwilę Morzysław, interesuje mnie Twoja dalsza droga edukacyjna.

– Oczywiście nigdy nie było wątpliwości, że zwycięży matematyka. W 1966 roku po maturze, mówiąc szczerze trochę wbrew oczekiwaniom profesora od matematyki, zamiast uniwersytetu wybrałem pracę nauczyciela w zaciśniętej wiejskiej szkole położonej 20 km od stolicy powiatu. (!?) Bądź cierpliwy, już wyjaśnięm dokładniej, pamiętaj, że ktoś strzela, a ktoś nosi kule. Pracę łączyłem ze studiami, tak zresztą robiło wielu moich kolegów. Najpierw Studium Nauczycielskie – zrobiłem w nim matematykę z fizyką. I wreszcie przyszła kolej na Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu – i oczywiście studia matematyczne.

– Wreszcie dobrnęliśmy do dyplomu z wymarzonej, przepraszam, zaplanowanej na zimno matematyki, marzyć mogą tylko humaniści – co robisz dalej z tą matematyką?

– Trochę z rozpędu, trochę opierając się na bazie zdobytej już wiedzy i życiowemu



doświadczeniu, na wszelki wypadek skończyłem jeszcze kilka studiów podyplomowych oczywiście z matematyki oraz zarządzania.

– Mogę tylko pozazdrościć Ci przezorności i życiowej samodyscypliny, ale kiedy wreszcie pojawi się na horyzoncie Konin?

– Jak wiesz, większość mojej drogi zawodowej związana była, i właściwie jest, z oświatą. Nauczyciel, zastępca dyrektora lub dyrektor w różnych typach szkół, od podstawowych, przez średnie (był czas, że spotykaliśmy się na przerwach w I Liceum) czy wreszcie wyższych. Droga do Konina wiodła przez Ostrzeszów i Słupcę. W Twoim ukochanym mieście odmeldowałem się na stałe w 1975 roku. Zacząłem od Szkoły Podstawowej nr 3 oraz nr 1. Dały mi olbrzymią satysfakcję i znajomość psychiki miejskich uczniów.

– Niezbyt długo jednak wytrzymujesz w szkolnictwie – pewno coraz bardziej byt zaczyna określać świadomość (sam zresztą z powodów absolutnie merkantylnych przenieśliśmy się do kultury) – poza tym na nauczycieli przeprowadzano „łapanki” do różnych instytucji.

– Chyba po trosze zadziałały wszystkie wymienione przez Ciebie czynniki, choć

oczywiście nie bez znaczenia był mój już w miarę ukształtowany pogląd na świat i rzeczywistość. Faktycznie w moim życiorysie następuje pięcioletni okres pracy politycznej, w tym dwa lata studiów w Moskwie. W 1986 roku powracam do oświaty i najważniejszy okres pracy w morzysławskiej uczelni. Proces przekształceń organizacyjnych i merytorycznych powiązany z tradycją kształcenia nauczycieli, okres zakończony utworzeniem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Droga od dyrektora zespołu szkół do kanclerza uczelni.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że prawie na jednym oddechu skwitowałeś bez mała dwudziestoletnią harówkę nad modyfikacją tej uczelni. Opisałeś to zresztą dość dokładnie ze Zdzisławem Maciejewskim w rozdziale „Od Liceum Pedagogicznego do Kolegium Nauczycielskiego w Koninie” w monografii poświęconej tym zagadnieniom. Chciałbym jeszcze na chwilę zobaczyć Cię w roli prezydenta.

– Wiceprezydentem zostałem 1 kwietnia 2004 roku – i gdybym mógł uwierzyć w magiczną moc daty prima aprilis, to wierzę mi, los spłatał mi potężnego figla. Zostałem odpowiedzialny za sprawy, których żadną matematyką nie można przewidzieć.

– Stąd właśnie druga część tytułu mojego z Tobą wywiadu. Słyszałeś z pięknych i barwnych wypowiedzi na przeróżne tematy, niemające nic wspólnego z matematyką. Zaś na „ty” przeszliśmy za sprawą mojej pięknej kuzynki a Twojej żony Hani, którą pozdrawiam a Tobie serdecznie dziękuję za wywiad.

StS

Konińskie obozy harcerskie lat 40. XX wieku

Zainspirowany artykułem Zygmunta Kowalczykiewicza „O DRUCHU HARCMISTRZU I OBOZIE HARCERSKIM” pragnę podzielić się z czytelnikami wspomnieniami z tych niezapomnianych obozów. Byłem uczestnikiem zarówno tego w Trzszczykale (bo tak nazywaliśmy wówczas teren dzisiejszej elektrowni Pątnów), jak i organizowanego rok wcześniej w Tokarach. Komendantem tych obozów był niezapomniany druh Antoni Studziński. W szczególnej pamięci pozostał mi obóz w Tokarach (może dlatego, że był to mój pierwszy) – pozwól zatem drogi Zyguncie, że rozwinę szerzej tą tematykę. Podążaj zatem czytelniku śladem moich myśli przelanych na papier, a przekonasz się, jak to kiedyś harcerze obozowali. A zaczęło się tak. Rozpoczęły się wakacje ciepłego lata 1947 roku i jak co dzień na rozległych piaskach Kniei (tak nazywaliśmy fragment miasteczka Ślesin, w którym stał mój dom) graliśmy w palanta, gdy nagle „gruchnęła” wieść, że hufiec koniński organizuje w Dużym Borze, w Tokarach obóz harcerski. Jeszcze tylko stosowne zapisy w szkole, a później jak w piosence:

„Pamiętasz chłopcze, gdy byłeś harcerzem, och ileż w domu było ambarasu// Gdy się sposobił w Swą daleką podróż, w daleką podróż do bliskiego lasu// Gładziły jasne włosy

Twe dziecięce matczyne ręce, matczyne ręce”.

Teraz tylko już należało wyposażyć w niezbędne przedmioty plecak, na wierzch zrolować koc, przytwierdzić menażkę i metalowy kubek, włożyć mundurek, zawiązać chustę, do paska od spodni przypiąć finkę i... w dwuzeregu zbiórka.

Maszerowaliśmy do Tokar najkrótszą drogą duktami leśnymi wyciętymi przez czołgi radzieckie, które 22 stycznia 1945 roku po wysadzeniu przez Niemców mostu na jeziorze, aby zdobyć miasto, musiały robić objazd przez most przy służbie w Gawronach i wjechać do Ślesina nie od wschodu, a od północy.

Kiedy dotarliśmy do Dużego Boru okazało się, że kilku harcerzy ubył. Marsz odbywał się podczas lekkiej burzy i po paru grzmotach kilku kolegów po prostu uciekło do domu. Na miejscu okazało się, że starsi druhowie z Konina rozbili już namioty i z powalonych sosenek zbijali prycze do spania. Pierwsze nasze zadanie polegało na napychaniu słomy (uprzednio przygotowanej na stercie koło obozu) do sienników, które układaliśmy na wcześniej zbite prycze. Ogrodzony płotem z sosenek i linami obóz wyglądał następująco: centrum stanowił wykopany w ziemi rowek po okręgu o promieniu kilku metrów o głębokości kilkudziesięciu centymetrów, który służył do siedzenia w czasie posiłków i podczas uroczystych og-

nisk rozpalanych z okazji występów artystycznych, kiedy to odwiedzali nas rodzice czy zaproszeni goście. Na środku tego kręgu paliło się ognisko, a wokół niego odbywały się wszystkie uroczystości i apele. W pewnej odległości od tego kręgu rozstawione były namioty: biały dla kierownictwa obozu, wojskowe, szare dla harcerzy i intendenta. Od strony stromej, piaszczystego zejścia do jeziora stała kuchnia polowa (lekko zadaszona brezentem), a poza ogrodzeniem od strony południowej była latryna (wykopany dość dużych rozmiarów dół, położone na to – do siedzenia i oparcia – drągi sosnowe). Od strony wschodniej była brama wejściowa i miejsce na posterunek wartowniczy. Wystrój artystyczny obozu to przede wszystkim różnego rodzaju symbole ułożone z kolorowych kamyczków, szkiełek, żwirku i tłuczonej cegły. Był oczywiście maszt, a na nim flaga obozowa.

Posiłki jedliśmy w menażkach, posługując się jedynie łyżką, napoje piliśmy w kubkach metalowych. Po każdym posiłku wszyscy zbiegali piaszczystą, stromą ścieżką na brzeg jeziora i przy pomocy piasku zmywało się naczynia, ku uciechu pływających wówczas w dużych ilościach cierników, ukleki czy kielbików. Zajęć obozowych nie brakowało. Zdobywaliśmy sprawności harcerskie, przygotowywaliśmy występy na uroczyste ogniska, a najmłodszy zbier-

rali chrust konieczny do ich rozpalenia. W niedzielę po apelu i śniadaniu następował wymarsz do kościoła w Ślesinie na mszę świętą. Staliśmy w kościele w czwórce, a w czasie podniesienia klękaliśmy na jedno kolano, na drugim zaś (w należytym porządku) trzymało się czapkę. Wieczorem przychodziła rodzina i znajomi z pobliskiego miasteczka, rozpalano uroczyste ognisko, a przy nim występy harcerzy. Pamiętam, jak zostałem (jako jeden z najmłodszych) wytypowany do rozpalenia ogniska. Kilkadziesiąt minut, (w ustronnym miejscu, nad jeziorem ze zdobytych przednio paczką zapalek) trenowałem zapalanie. Rzecz polegała na tym, iż należało rozpalić ognisko od jednej zapalniczki. Trening pomógł i blamażu nie było.

Utkwiło mi w pamięci takie wydarzenie: kiedy odwiedził nas ksiądz z Konina, po wizycie odprowadzaliśmy go całym obozem na przystanek kolejki wąskotorowej w Ślesinie. Wymarsz nastąpił około godziny drugiej w nocy, aby ksiądz zdążył na pociąg, który wyjeżdżał około godziny piątej, aby przez Kleczew, Jabłonkę, Kazimierz, Pątnów, Gosławice, Marantów dojechać na godzinę ósmą do Konina.

Nie brakowało też zabawnych momentów. Zdarzało się bowiem, że w czasie snu przy przewracaniu się z boku na bok prycza się zarywała, a zdziwiony delikwent lądował z

hukiem na mchu. Dowcipni wysnuli nawet taką teorię, że te zdarzenia miały miejsce wtedy, kiedy na obiad kucharz ugotował grochówkę. Ale to oczywiście żarty.

Przypadek zrządził, że 30 lat później w tym samym miejscu na obozie był mój syn. Były również namioty, ale w nich metalowe łóżka z materacami. Była zadaszona stołówka, białe talerze, sztucce, panie kucharki w białych fartuszkach, przenośne toalety. To był też fajny obóz, jednak nie był to ten mój z 1947. W następnym roku dotarłem na obóz w Trzszczykale (wspomniany wcześniej teren obecnej elektrowni Pątnów) siedząc na bagażniku roweru, którego kierowcą był przez wszystkich lubiany nauczyciel wychowania fizycznego szkoły w Ślesinie pan Sawczuk. Z tego obozu mam nieco mniej wspomnień. Pamiętam tylko piękny staw, do którego chodziliśmy po wodę, liczne dęby, niewypały, które przyjeżdżało rozbrajać wojsko, a oprócz kolegów utkwily mi w pamięci nazwiska kadry obozowej. Oprócz komendanta druha Studzińskiego byli: Józef Skórzewski, Janusz Szymczak, Jurek Jaworski, a wcześniej w Tokarach oprócz wymienionych miejscowi zastępowi Włodek Piechocki i Mietek Szkudlarek. Następne obozy były w Czerwieńsku nad Wisłą, ale tam mnie nie było. Może ktoś z kolegów, uczestników tamtych obozów napisze coś na ten temat?

Pozdrawiam wszystkich kolegów, uczestników tych eskapad.

Mieczysław Bryzgalski

Pamiętki narodowe w Licheniu



2 lipca w Licheniu Starym otwarto Muzeum im. ks. Józefa Jarzębowskiego. Licheń to nie Konin, ale blisko, tak więc przybyło nam niezwykle miejsce z unikatową kolekcją pamiątek polskiej historii gromadzoną przez całe życie przez marianina ks. Józefa Jarzębowskiego.

Sam ks. Jarzębowski (1897-1964) podsumowując swoje życie, napisał, że przyszło mu zbierać po świecie polskie dzieci i pamiątki narodowe... Był przede wszystkim wychowawcą. Pisał: miłość do Ojczyzny...można zaszczerpić młodzieży poprzez bezpośredni kontakt z pamiątkami świadczącymi o jej wielkiej przeszłości... to słowa z pięknie wydwanego albumu przy okazji otwarcia muzeum. Polecam zainteresowanym, nie sposób w krótkim felietonie napisać więcej o księdzu i podzielić się wrażeniami z oglądania kolekcji.

Muzeum jest nowoczesne, a zbiory eksponowane tematycznie, tak więc przechodząc z sali do sali,

nie sposób się nudzić, bo w każdej z nich jesteśmy zaskakiwani czymś wyjątkowym.

Fotografie, dokumenty i filmy prezentują burzliwą 80-letnią historię muzeum. Kolekcja broni białej, listów królewskich, rycin, map, pięknych pasów kontuszowych to „Rzeczpospolita Szlachecka”. W tej części także naturalnej wielkości figura konia z rżędem.

„Drogi do niepodległości” to zbiór pamiątek ukazujący dążenia wolnościowe Polaków i anegdota związana z okularami Romualda Traugutta (przywódcy powstania styczniowego) przemycanymi przez kontrolę graniczną na nosie ks. Jarzębowskiego.

Bliska memu sercu pamiątka ze względu na Poznań i pamięć o tamtym czasie koszulka Romka Strzałkowskiego, najmłodszej ofiary poznańskiego czerwca. Koszulkę, w której zginął chłopiec, podarowała księdzu matka Romka.

Wśród obrazów w „Galerii Sztuki Sakralnej” zwraca uwagę piękny obraz Madonny z dzieciątkiem Wasniecowa i niezwykle figurki świętych rodem z Meksyku.

Figurki są niewielkie (około 30 cm) ubrane w szaty liturgiczne. Rozbieranie ich (choćby w celu konserwacji) trwa prawie dwie godziny. Ubrane są kompletnie tzn. we wspomniane szaty liturgiczne, spodnie, koszule itp. do bielizny. W przyszłości będzie można

zobaczyć dokumentację fotograficzną takiej „sesji”.

Opowiadałam o tych figurkach znajomym, którzy zwiedzali Meksyk i usłyszałam zabawną historię. Wśród figurek świętych w kościele jedne były ubrane w zadbane i czyste stroje, ubrania innych były jakby zapomniane, zakurzone. Odpowiedź miejscowych była prosta. Na lepsze ubranie zasłużył sobie święty, który wysłuchiwał prośby.

Wspomnę jeszcze o znakomitej kolekcji rysunków artystów niderlandzkich, włoskich, niemieckich i polskich tej miary co Jan Piotr Norblin, Jan Matejko, Wojciech Kossak. Kolekcja jest na tyle bogata, że tylko część z nich można było eksponować.

Muzeum naprawdę warto zwiedzić. Czynne we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem poniedziałku. Wstęp bezpłatny.

Mirosława Dimitrow



Targowica

„Sezon ogórkowy” w pełni, zatem pośrednio o warzywach. Od wielu lat

nie miałem okazji przebywać na targowisku miejskim przy ulicy Wodnej. Podczas niedawnych odwiedzin zastałem obraz jakże odmienny od zapamiętanego sprzed kilkadziesiąt lat. Stwierdziłem, że stragany oferujące artykuły przemysłowe dominują nad tymi z owocami, warzywami czy kwiatami. Nie ma w tym nic dziwnego, że w wyniku zapotrzebowania zmienia się profil oferowanych produktów, stąd ogrom oferty towarowej, oraz wszechobecność cytrusów i ich różnorodność, co bardzo cieszy. Jedyne co przeszkadza to „beziemność” oferowanych warzyw oraz owoców pochodzenia krajowego. Powodem takiego stanu rze-

czy jest brak lub śladowa obecność na targowisku producentów. Proces odchodzenia z bazaru wytwórców dóbr materialnych oraz ogrodników trwał latami. Częstym powodem było wymieranie, a w wielu wypadkach uwarunkowania ekonomiczne czy też decyzje urzędnicze. Jako pierwsze z krajobrazu konińskiego targowiska usunięto tzw. tanie jatki. Podobno odbyło się to w wyniku troski o klienta, a owej decyzji sekundowała inspekcja sanitarna. Fakt może nieco dziwić, bowiem w Holandii, Hiszpanii, Włoszech sprzedaż: ryb, serów, mięsa nadal odbywa się w identyczny sposób, jak u nas przed laty i nikomu to jakoś nie przeszkadza. Drzewiej potencjalny klient, czy to za pomocą poczty pantoflowej, czy też informacji wywieszanej, w tzw. taniej jatce wiedział, że dziś wieprzowinę czy wołowinę z własnego uboju będzie sprzedawał ten czy

inny rolnik. Dzięki tak prozaicznemu faktowi klient otrzymywał towar „pachnący” jeszcze rzeźnią, stąd świeży oraz pierwszej jakości. Jakże trafnym podsumowaniem wspomnień mogą być słowa wypowiedziane przed laty przez niezapomnianego konińskiego rzeźnika pana Szlendra: – Widzisz chłopcze, przed wojną uczono mnie, że ze świni da się zrobić tylko pięć gatunków kielbas. Popatrz, a ile teraz ich nawymyślali!

Jak już wspomniałem, wszechobecność owoców i warzyw na naszych stołach przez cały rok cieszy, bowiem w czasach, o których wspominamy prawie rok należało czekać na tak zwane nowalijki. Jednakże pewnikiem jest, że opłacało się na nie czekać. Przykre, ale większość klientów z młodego pokolenia nie zna „prawdziwego” smaku pomidorów. Ówczesne – nieskażone chemią i genetyką toматы – pachniały i emanowały smakiem. Dlatego klient w pełni świadomy swej decyzji ustawiał się w kolejce po warzywa wyhodowane w konińskich ogrod-

nictwach Jacolika, Kolańskiego, Sanigórskiego, Szydłowskiego, Woźniaka czy wielu innych – oferujących produkt jeszcze wczoraj dojrzewający w ich oranżeriach czy inspektach. Uzupelnieniem szerokiej gamy oferowanych warzyw były owoce. Kiedy podkonińskie sady się zaroili ich obfitością, zapach: „koszteli”, „złoty renet”, „malinówek” wypełnił stragany. Miejscowy czy przez zupełny przypadek trafiający na targowisko potencjalny klient był informowany, z czyjego sadu pochodzą przyciągające zarówno smakiem, jak i swoim wyglądem jabłka, śliwki, gruszki czy czereśnie.

Przecież poza dniami targowymi przypadającymi na wtorek i piątek, a jarmarku w pierwszy czwartek miesiąca, handlem zajmowali się również pośrednicy. Czy i oni także informowali o pochodzeniu produktu? Ależ oczywiście! Oprócz warzywniaków, w ulicy Kramowej lub w innym miejscu ustawiały się „przekupki”. I również u nich można było nabyć produkty sygnowane przez danego producenta. Jako uzupełnienie wspomnień przytoczmy obraz domniemanej transakcji z tamtych lat. Na widok przyszłego nabywcy, osoba oferująca towar pyta – Czego pani sobie wina? Czereśnie? A z jakiego sadu? Paniusia patrzy! Te są od Nowickiego, tamte od Karpińskiego, a te tutaj z alei czereśniowej koło Rumina? Aha! Pani jeszcze łaskawie zerknie na tamte, to z tuliszowskich sadów! Widząc niezdecydowanie w konińskim żargonie, wagowanie się nabywcy – sprzedawca spieszył z wyjaśnieniem: zważymy w tytkach po pół kilo i najlepiej, jak sama pani posmakuje.

W szlagierze z początku lat siedemdziesiątych pt. „Adios pomidory” Wiesław Michnikowski słowami: „To cóż, że jeść ja będę zupy i toматы, gdy pomnę wciąż wasz świeży miąższ w te witaminy przebogaty” zęgnął się z ukochanymi pomidorami. Czy dziś – w dwudziestym pierwszym wieku doszukałby się tamtego smaku i miałby, za czym tęsknić?

Włodzimierz Kowalczykiewicz

Grunwaldzkie tradycje

dokończenie ze str. 1
* * *

Trzeci akcent tradycji grunwaldzkich. – We wspomnianym wyżej tygodniku międzywojennym, ukazującym się w latach 1921-1939 „Głosie Konińskim”, odnalazłem mały, ale wymowny i treściwy akcent obrosłej polityką retoryki grunwaldzkiej. Tekst powstał tuż „przed burzą”, w ostatnich tygodniach lipca 1939 roku. „Głos Koniński” dawał w tym czasie wiele miejsca sprawom politycznym, tematowi widocznej już na widnokręgu dziejowym wojny światowej. Łamy pisma okraszane były tekstami o szczególnej wymowie patriotycznej. Zresztą uczucia te udzielały się wówczas całemu polskiemu społeczeństwu. Stąd w kolej-

nią rocznicę triumfu grunwaldzkiego tak m.in. pisano:

[...] Dziś właśnie obchodzimy rocznicę Grunwaldu – a Grunwald był już przed 530 laty wynikiem owego germańskiego „Drang nach Osten” i owego poszukiwania niemieckiego „Lebensraumu”. [...] Grunwald nie jest tylko wspomnieniem historycznym, jest [także] przykładem”.

Dalej w sposób dość standardowy i szablonowy omówiony został przebieg bitwy. Tekst sygnowany przez autora M.G. kończy się słowami: „Już przed przeszło 5 wiekami Polska tym, którzy lekceważą jej obszar życiowy u ujścia Wisły [...] odpowiada Grunwaldem...”.

Janusz Gulczyński

„Brzeźno – zarys dziejów miejscowości i parafii” – Ks. Mariusz Budkiewicz

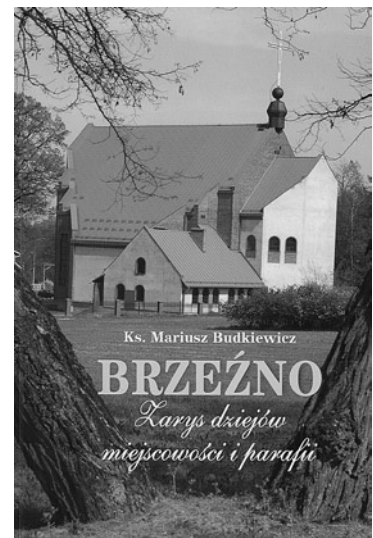
Autor we wstępie mówi skromnie, „praca nie pretenduje do miana naukowej monografii, ale jest przyczynkiem ukazującym najważniejsze wydarzenia związane z bogatą i złożoną historią parafii i miejscowości wchodzących w jej skład”. Ja z całą odpowiedzialnością chcę stwierdzić, że czas poświęcony pracy oraz jej dokładność i skrupulatność stawiają ją w rzędzie nader sumiennie przygotowanych dla czytelnika historii. Nie pomija autor nawet czasów prehistorii oraz najstarszego osadnictwa na tych ziemiach. Nomen omen praca wybitnie benedyktyńska, co czytelnika na pewno usatysfakcjonuje.

Nie zapomina autor również o nader ważnej dla Konina informacji dotyczącej początków wydobywania węgla brunatnego. Oczywiście to tylko ciekawostki, bowiem praca poświęcona jest w całości powstaniu parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Brzeźnie

oraz jej konsekracji. A oto, co mówi o interesującym nas temacie dr Jarosław Kołtuniak: „Książka należy do publikacji z zakresu dziejów lokalnych (...) Kontynuowane przez autora badania naukowe przyniosły wiele nowych informacji, które znacząco wzbogaciły pierwotną wersję monografii, dającą asumpt do dalszych poszukiwań i penetracji archiwalnych. (...) W czasie globalizacji świata przyczynki służące poznaniu małych ojczyzn są tematem nie tylko modnym, ale ze wszech miar pożądanym”.

Książkę można nabyć na plebani w Brzeźnie – zachęcamy.

StS



Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,
tel. 63-243-77-00, 63-243-77-03
ISSN 0138-0893

tpk-sroczynski@wp.pl
Redaktor prowadzący – Stanisław Sroczynski, Zespół redakcyjny – Piotr Rybczyński, Zygmunt Kowalczykiewicz (st), Jan Sznajder, Janusz Gulczyński, Włodzimierz Kowalczykiewicz (mł), (Internet)